

Roman Mańka

Tekst na temat spirali milczenia oraz hegemonii pozwolił płynnie przejść w analizie z pierwszej do drugiej tury wyborów. Obydwa zjawiska: spirala milczenia oraz hegemonia będą odgrywały w walce pomiędzy obecnym prezydentem Andrzejem Dudą a kandydatem obozu liberalnego, Rafałem Trzaskowskim, ogromną rolę. Zwłaszcza hegemonia, gdyż odnosi się ona zarówno do wymiaru „bazy” (strukturalnego), jak i do wymiaru „nadbudowy” (kulturowego, czy psychospołecznego).

Ważne jest prawidłowe zrozumienie teorii hegemonii. Nie można z niej wyciągnąć wniosku, jaki pozornie się narzuca, iż rozstrzygająca jest dominacja w sferze kulturowej – jest ważna, niezwykle istotna, ale nie rozstrzygająca. Obydwa przestrzenie – „baza” i „nadbudowa” są niezwykle ważne i żadnej nie można zaniedbać. Gdy włoski filozof, Antoni Gramsci stworzył teorię hegemonii, jego intencją najprawdopodobniej było danie ludziom lewicy (Gramsci był włoskim komunistą, a zaliczany jest do tradycji marksistowskiej) czegoś w rodzaju pocieszenia, pomysłu na otarcie łez, strategii zastępczej. Jego komunikat wysłany do lewicy brzmiał mniej więcej tak: skoro nie możemy zwyciężyć w przestrzeni „bazy”, w obiektywnym wymiarze stosunków społeczno-ekonomicznych, wygramy w przestrzeni „nadbudowy”, a więc w wymiarze kultury, w sferze języka, dyskursu, symboli, debaty publicznej, itd.

Dlatego Gramsci wyraźnie rozróżnił „wojnę ruchomą”, rozgrywaną w sferze obiektywnych relacji gospodarczych, od „wojny pozycyjnej”, którą można rozegrać i wygrać w przestrzeni kultury; poprzez to co we współczesnej filozofii polityki określa się jako: posiadanie języka, „kolonizacji” dyskursu, przejmowaniu słów, pojęć, nawet „kradzieży” języka, itp.

Posiadanie tematu przypomina pojęcie posiadania piłki w futbolu: ta drużyna, która ma lepszą statystykę posiadania piłki, zyskuje tzw. przewagę optyczną, która najczęściej (choć nie zawsze) przekłada się na realną, definitywną przewagę i zwycięstwo w meczu.

Teorię hegemonii Antonio Gramsciego, a zwłaszcza jej ważnego działu – „wojny pozycyjnej” – rozwinęli współcześnie inni filozofowie polityki, tacy jak: Ernesto Laclau, autor „Rozumu populistycznego” oraz Chantal Mouffe.

Paradoks polega na tym, iż z teorii, którą Gramsci stworzył dla znajdującej się na Zachodzie Europy od 1936 roku (od wojny domowej w Hiszpanii) lewicy komunistycznej w defensywie (na wschodzie dopiero od roku 1989), skorzystała chyba w większym stopniu również prawica populistyczna: oprócz lewicowych populistycznych ugrupowań, takich jak: „Podemos” w Hiszpanii, czy „Syriza” w Grecji, na koncepcjach Laclau oraz Mouffe skorzystały również formacje populistycznej prawicy, takie jak Front Narodowy we Francji, Ruch Pięciu Gwiazd we Włoszech, czy Alternative für Deutschland w Niemczech

W Polsce PiS

Dlatego Laclau czy Mouffe, często nazywani są „schmitami lewicy”, gdyż rozbudowując dział nazywany „wojną pozycyjną” w teorii hegemonii Gramsciego, stworzyli również strategię (czy co najmniej taktykę) dla populistycznej prawicy. Wojna pozycyjna polega na stopniowym przejmowaniu władzy poprzez próbę zdobywania hegemonii w sferze kulturowej: zawłaszczanie języka, kolonizowanie dyskursu, posiadanie tematu, napełnianie pustych pojęć znaczeniami, itd. Szczególnie ważny i ciekawy jest ten ostatni element: napełnianie pustych pojęć znaczeniami.

„Kolonizując” dyskurs można osiągnąć przewagę pozycyjną.

W kontekście zbliżających się wyborów prezydenckich, myśląc już zapewne o drugiej turze, PiS próbuje regenerować pytanie, które 4 czerwca 1992 roku, podczas słynnej debaty w Sejmie nad odwołaniem rządu Jana Olszewskiego oraz tzw. „Nocy teczek” zadał Jan Olszewski: (...) „I z pełną świadomością stawiam przed Wami, Państwo Posłowie, stawiam przed Wami to zadanie, abyście według własnego sumienia głosowali za lub przeciw odwołaniu tego rządu; to czynię tak w przekonaniu, że od dzisiaj stawką w tej grze jest coś innego niż tylko kwestia, jaki rząd będzie wykonywał ten budżet do końca roku, że w grze jest coś więcej, że w grze jest pewien obraz Polski: jaka ona ma być (?); może inaczej: czyja ona ma być?”.

W kontekście wyborów prezydenckich 2020 roku, zwłaszcza po wejściu do gry Rafała Trzaskowskiego, PiS powtarza pytanie Jana Olszewskiego: czyja będzie Polska? Tyle tylko, że to pytanie zostało już dawno rozstrzygnięte.

W sferze struktur, obiektywnych stosunków społeczno-gospodarczych, realnego układu sił przewagę ma obóz liberalny. Również kulturowe zasoby kapitału symbolicznego i kapitału społecznego są po stronie liberalnej; decydują o tym parametry takie jak: wyższy poziom socjalizacji politycznej, większa świadomość, lepsze wykształcenie, większa kreatywność. Używając terminologii Antonio Gramsciego: hegemonię i w wymiarze „bazy” i w sferze „nadbudowy” posiada obóz liberalny, który już dawno rozstrzygnął na swoją korzyść „wojnę ruchomą”, jeżeli zaś PiS w ostatnim czasie mógł zwyciężać w wyborach politycznych, to jedynie poprzez „kradzież języka”, zwłaszcza pojęć takich, jak „patriotyzm”, „Ojczyzna”, „Naród”, napełnienie ich własnymi znaczeniami.

Jednak hegemonię w obiektywnej sferze stosunków społeczno-ekonomicznych posiada obóz liberalny, i tej przewagi nie są w stanie odwrócić wyniki jednych czy drugi wyborów (parlamentarnych, a już na pewno nie prezydenckich), gdyż prawdziwa, realna władza znajduje się gdzieś indziej – poza wymiarem wyborów politycznych czy typowej polityki.

Dlatego struktury (szeroko rozumiane i nie chodzi o struktury typowo polityczne) w drugiej turze wyborów prezydenckich będą pracowały na rzecz Rafała Trzaskowskiego.

O tym, że na wygraną wyborów prezydenckich w drugiej turze większe szanse ma kandydat KO, Rafał Trzaskowski, świadczy również kilka innych zjawisk i mechanizmów, o charakterze strukturalnym.

System wyborów prezydenckich

W nauce nazywa się to redukcjonizmem. W 1925 roku amerykańska antropolożka, Margaret Mead, zaczęła badać ludy Oceanii (zamieszkujące archipelag Samoa, Nową Gwineę oraz Bali), aby precyzyjniej opisać te procesy i zjawiska, które intuicyjnie zaobserwowała w ramach złożonego społeczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Na prostym modelu pewne rzeczy widać lepiej, można je dokładniej i o wiele bardziej zrozumiale opisać. Nie bez kozery marynarze twierdzą, że najwięcej, z punktu widzenia funkcjonowania okrętu, widać nie z poziomu bocianiego gniazda lecz z poziomu maszynowni. To jest właśnie redukcjonizm. Również, jeżeli chodzi o wybory prezydenckie, aby opisać logikę ich funkcjonowania, trzeba zejść na dużo niższy poziom, na pułap wyborów samorządowych.

Destrukcyjny mechanizm, wpisany w system wyborów prezydenckich zaobserwowałem analizując dokładnie wybory samorządowe, a konkretnie rzecz ujmując: wybory wójtów, burmistrzów, i prezydentów (a zwłaszcza wójtów).

Jest to system analogiczny wobec wyborów prezydenta RP. Mówi się, że w Polsce większość

wójtów jest – nawet kilkakrotnie – wybieranych ponownie, niektórzy sprawują swoje stanowiska od roku 1990, czyli od czasu pierwszych wyborów samorządowych, inni po 20 lat, zazwyczaj większość wójtów nie ma problemów z uzyskaniem reelekcji, co najmniej na drugą kadencję. To jednak obraz powierzchowny. Gdy zwiększymy rozdzielczość (ostrość obrazu) i spojrzymy głębiej, zauważamy pewną subtelność tego mechanizmu: wprawdzie rzeczywiście wójtowie uzyskują reelekcję, co najmniej na drugą kadencję, pod warunkiem, że zwyciężają w pierwszej turze wyborów; większość wójtów, którzy pozostają na kolejną kadencję wygrywa w pierwszej turze; gdy natomiast nie wygrywa w pierwszej turze, drugą najczęściej przegrywa.

To jest ten strukturalny destruktywny mechanizm. W wyborach prezydenta RP istnieje analogiczny system (właściwie taki sam); z tą tylko różnicą (i to jest niuans), że wójtom łatwiej jest wygrać w pierwszej turze, gdyż posiadają silne prerogatywy wykonawcze i do dyspozycji cały klientelistyczny sieć (w języku prof. Andrzeja Zybertowicza: klientelistyczną sieć korzyści), która ich otacza, tworząc swego rodzaju „pole grawitacyjne”, i z której mogą skorzystać. Niestety prezydenci Polski tego atutu nie posiadają, nie posiadają nawet namiastki tego waloru. Gdy wójtowie gmin czy burmistrzowie miast nie zwyciężają w pierwszej turze wyborów, to zazwyczaj już nie wygrywają.

Ten strukturalny mechanizm ma destruktywny charakter: gdy wójt, burmistrz, prezydent (również analogicznie prezydent Polski) nie wygra w pierwszej turze, to najczęściej oznacza, że nie ma większości wśród wyborców i jest kontrowersyjny; pierwsza tura wyborów jest zawsze w jakiejś mierze plebiscytem (referendum) dokonania wójta, burmistrza, prezydenta; przejrzystość tej oceny można zafałszować przez rozciągnięcie struktury kandydatów (redundancję sceny wyborczej) i rozproszenie głosów; wówczas wywołuje się wrażenie, że urzędujący i walczący o reelekcję władarz, nie posiada większości.

Opisany powyżej destruktywny mechanizm struktury potwierdza analiza historyczna: na czterech prezydentów, którzy sprawowali w Polsce Urząd Głowy Państwa, jedynie Aleksander Kwaśniewski, w 2000 roku, zapewnił sobie reelekcję; pozostali po pierwszej kadencji przegrywali wybory w drugiej turze: w 1995 roku, wbrew przewidywaniom, Wałęsa przegrał z Kwaśniewskim; w 2010 roku prezydent Lech Kaczyński zginął w katastrofie smoleńskiej, ale wszystkie sondaże przedwyborcze nie dawały mu żadnych szans na reelekcję; wreszcie w roku 2015 klęskę poniósł, jak wydawało się wielu ekspertom, stuprocentowy faworyt, Bronisław Komorowski. To bardzo mocno uprawdopodabnia porażkę również obecnego prezydenta, Andrzeja Dudy. Z analizy historycznej wynika, że gdy urzędujący prezydent nie wygra wyborów w pierwszej turze, to już nie wygra.

Ale w polskim systemie politycznym w odniesieniu do prezydenta występuje jeszcze inny destruktywny mechanizm, w dużym stopniu niezależny od jakości sprawowania władzy, któremu sprostać może jedynie bardzo dobry prezydent.

To mechanizm, który lokuje się gdzieś pomiędzy systemem politycznym, zinstytucjonalizowanymi procedurami, a kulturą polityczną (obyczajem). W Polsce nie ma wypracowanej kulturowej reguły, aby kandydatów na prezydenta zgłaszać na długo przed terminem wyborów. Nazwiska przyszłych kandydatów są zazwyczaj nieznane na dwa lata czy rok przed wyborami, poza jednym nazwiskiem urzędującego w danym okresie prezydenta. Pretendenci do urzędu prezydenckiego wyłaniają się dopiero na pół roku przed wyborami, inni w jeszcze krótszym okresie, na kilka miesięcy przed momentem wyborów.

Powoduje to trudność w przeprowadzaniu pomiarów socjometrycznych preferencji wyborczych dotyczących wyborów prezydenckich, gdyż pewny jest właściwie tylko jeden kandydat, pozostałych zaś wskazuje się na zasadzie spekulacji, trochę hipotetycznie; nie prowadzą oni

jednak żadnych kampanii. Gdy respondenci pytani są na dwa lata, lub na rok przed wyborami prezydenckimi na kogo będą głosować, mając słabe rozeznanie co do kandydatów, odpowiadają, że na urzędującego prezydenta, zawyżając w ten sposób jego poparcie wobec stanu realnego. Jednak jest to odpowiedź najwygodniejsza, poprawna politycznie.

Później, gdy na krótko przed wyborami pojawiają się prawdziwi, naturalni pretendenci, notowania prezydenta urealniają się; w ten sposób powstaje jednak sztuczne wrażenie spadku poparcia (dysonans). W rzeczywistości realne poparcie urzędującego prezydenta było zawsze mniej więcej na zbliżonym poziomie, lecz przeprowadzane w warunkach braku realnych alternatyw, niedoboru prawdziwych konkurentów, badania demoskopijne, w sposób sztuczny je zawyżyły.

Stąd brało się właśnie to rzekome 70 proc. poparcia dla prezydenta Bronisława Komorowskiego, w 2014 i na przełomie 2014 oraz 2015 roku, i też jeszcze na kilka miesięcy przed wyborami. Później natomiast, gdy pojawili się realni rywale, notowania Komorowskiego zaczęły się urealniać, czyli korespondować z realnym poparciem. W ten sam destruktywny mechanizm wpadł Andrzej Duda. Jego sondaże również przez długi czas utrzymywały się na wysokim poziomie, grubo ponad 50. lub nawet 60. proc. Jednak nie były tak wysokie, jak notowania Komorowskiego. To dla prezydenta Dudy, patrząc na los prezydenta Komorowskiego, raczej zły znak.

Mechanizm ten stwarza wrażenie (pozory) silnego regresu poparcia, w krótkim odstępie od wyborów, podczas gdy w rzeczywistości żadnego regresu (poza pewnymi naturalnymi wahaniami) nie ma, a realne poparcie kształtuje się mniej więcej na takim samym poziomie – spadają notowania, a nie poparcie. Ale w związku z tym, że kampania wyborcza wchodzi w bardziej zaawansowaną fazę, co powoduje, że pojawiają się realnie konkurencie urzędującego w danym okresie prezydenta, jego notowania się urealniają, dobijają do rzeczywistego poziomu, a to z kolei tworzy wrażenie poważnego spadku i bardzo źle wygląda w oczach opinii publicznej: pozorne (wirtualne) obniżenie notowań, poprzez uruchomienie wspomnianej już teorii spirali milczenia oraz sprzężenia zwrotne, wtórnie pociąga za sobą realny regres.

Jest to niezamierzony, destruktywny efekt spekulacyjny, związany z luką w polskim systemie politycznym, powstałą pomiędzy zinstytucjonalizowanymi procedurami a obyczajem (kulturą polityczną), a właściwie brakiem dostatecznie rozwiniętych zinstytucjonalizowanych reguł oraz kulturowych obyczajów.

Brakuje doprecyzowania: kiedy, w jakim odstępie od wyborów prezydenckich powinno przeprowadzać się pomiary socjometryczne preferencji wyborczych dotyczących wyboru prezydenta, i czy sporządzanie badań demoskopijnych w momencie, gdy nieznane są nazwiska pretendentów, jest zachowaniem uczciwym i dozwolonym. Przypadki prezydenta Bronisława Komorowskiego, jaki i Andrzeja Dudy pokazują, że takie spekulacyjne działanie godzi w interesy osoby sprawującej w danym okresie funkcję prezydenta. W działaniach Bronisława Komorowskiego, jak również Andrzeja Dudy, w stosunku do wcześniejszych lat kadencji nie pojawiło się nic nadzwyczajnego, uzasadniającego tak nagły, gwałtowny, radykalny spadek. Mechanizm ten przypomina zjawisko samosprawdzającej się przepowiedni w socjologii: gdy np. ktoś zacznie rozgłaszać masowo plotki, że dany bank zbankrutuje, to na skutek proliferacji fikcji bankructwa, on rzeczywiście zbankrutuje.

Podobnie jest z działaniami spekulacyjnymi na giełdach papierów wartościowych: gdy w sposób sztuczny będą obniżane notowania określonych spółek kapitałowych, w krótkim czasie nastąpi efekt realny: akcje rzeczywiście pójdą w dół.

Prezydent Duda wpadł w ten sam destruktywny mechanizm, który stał się jedną z głównych

przyczyn anihilacji prezydentury Bronisława Komorowskiego, choć w obydwu przypadkach, nic na to nie wskazywało.

Natomiast każdy kto analizował w odniesieniu do obydwu prezydentów poparcie realne, a nie sondażowe, wyrażane w liczbach bezwzględnych, a nie w wielkościach procentowych, wiedział, że ani jeden ani drugi nie miał szans na reelekcję już w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Tymczasem z powodu niekorespondencyjności sondażowych notowań, w stosunku do realnego poparcia (w rzeczywistości dużo niższego niż to wyrażane w pomiarach socjometrycznych) powstało, w obydwu przypadkach, oczekiwanie zwycięstwa już w pierwszej turze, a gdy okazało się, że jest to nie możliwe, gdy okoliczność ta dotarła do społecznej świadomości, powstała frustracja, demobilizacji elektoratów, i poważne załamanie.

Opisane powyżej destruktywne mechanizmy powodują, że Andrzej Duda już na starcie drugiej tury wyborów, jest w gorszym położeniu. Nie wygranie wyborów w pierwszej turze (wbrew oczekiwaniom) oraz wrażenie załamania, regresu poparcia (które może przełożyć się na realny regres, a przynajmniej osłabić progresję), wszystko to powoduje, że inicjatywa strategiczna będzie po stronie jego konkurenta: Rafała Trzaskowskiego.

Rezerwy

Wielokrotnie w swych analizach powoływałem się na strategię gier, która mówi, iż zwycięstwo odnosi ten gracz, który posiada większe zasoby. Tymczasem analiza wszystkich wyborów odbywających się w formule ordynacji większościowej, zwłaszcza wyborów samorządowych, w ramach których występuje efekt bezpośredniego zderzenia, ale także ostatnich wyborów do Senatu, w których PiS nie uzyskał większości, pokazuje, że – wbrew temu co się mówi – większe zasoby posiada obóz liberalny.

Są to zarówno zasoby strukturalne, wynikające z relacji sił w układzie społeczno-gospodarczym (ekonomiczne status quo), w terminologii Gramsciego: hegemonia, jak i zasoby kulturowe, kapitału symbolicznego (elektorat liberalny jest bardziej świadomy, lepiej wykształcony), jak również typowe zasoby wyborcze w postaci poszczególnych grup społecznych.

Trzeba sobie jasno powiedzieć: gdy mamy do czynienia z czołowym zderzeniem, w warunkach ordynacji większościowej, prowincja nie jest w stanie przegłosować wielkich miast. Pod tym względem, polska geografia, mimo wszystkich różnic, i pamiętając o odpowiednich proporcjach, podobna jest do Stanów Zjednoczonych. Tymczasem w wyborach prezydenckich w USA, reprezentująca Partię Demokratyczną, Hilary Clinton otrzymała więcej bezpośrednich głosów wyborców niż Republikanin, Donald Trump.

Trump uzyskał znacząco mniej głosów bezpośrednich wyborców, zaś o jego elekcji zadecydował skomplikowany system wyboru bezpośredniego poprzez głosy elektorskie. Głosy oddane bezpośrednio, w skali kraju, w sensie prawnym nie posiadają żadnego znaczenia, gdyż zlicza się je w wymiarze konkretnego Stanu, a następnie przelicza na głosy elektorskie.

Przykład amerykański, który jest pod pewnymi względami, podobny do polskiego, pokazuje zatem, że kilka największych miast (metropolii) jest – w rozumieniu liczby głosów bezpośrednich wyborców – przegłosować prowincję.

Analogiczna sytuacja ma miejsce w Polsce, w ramach czołowego, bezpośredniego zderzenia wielkie miasta są w stanie przegłosować wieś. Nie pokażą tego wybory prowadzone w warunkach ordynacji proporcjonalnej, gdyż one zawsze dekonsolidują scenę wyborczą i w jakiejś mierze rozpraszają głosy, w znacznie większym stopniu niż wybory prowadzone na zasadach ordynacji większościowej, a przede wszystkim wtedy, gdy dochodzi do czołowego

zderzenia, które konsoliduje i mobilizuje poparcie wokół dwóch biegunów, pokazując ich rzeczywistą siłę „grawitacyjną”.

Wybory większościowe konsolidują układy i środowiska polityczne wokół głównych graczy politycznych oraz mobilizują wyborców.

W Polsce konsolidacja i mobilizacja pracuje bardziej na korzyść obozu liberalnego, chyba, że jego fragmentaryzacja zachodzi z powodu oddziaływań wewnętrznych, na własne życzenie. PiS, a ujmując rzecz szerzej, obóz konserwatywny w wyborach większościowych zwyciężał jedynie w sytuacji dekonsolidacji obozu liberalnego oraz demobilizacji jego wyborców; potwierdzają to przykłady wyborów prezydenckich z 1995 roku, z 2000, z 2010, wyborów do senatu z 2019; gdy obóz liberalny był skonsolidowany zawsze zwyciężał; a idąc z analizą w drugą stronę, gdy był zdekonsolidowany i zdemobilizowany (rok 2005, 2015), zawsze przegrywał. Doprecyzowując diagnozę strategii gier, w kontekście wyborów prezydenckich w Polsce, w roku 2020, można postawić hipotezę, o czym wielokrotnie pisałem, iż zwycięstwo odniesie nie tyle ten gracz czy obiekt polityczny, który lepiej zmobilizuje zasoby, lecz ten, który zmobilizuje rezerwy.

Decydującym czynnikiem w wyborach prezydenckich 2020 roku będzie mobilizacja rezerw

Po wyborach do Parlamentu Europejskiego, w 2019 roku, prof. Antoni Dudek, stwierdził, iż większe rezerwy posiada PiS i obóz konserwatywny. Powierzchniowa, niepogłębiona przez analizę procesów demograficznych obserwacja potwierdza taką diagnozę, jednak gdy przyjrzeć się sytuacji głębiej teza prof. Dudka staje się problematyczna.

Na pozór większe rezerwy posiada PiS, i na pozór znajdują się one na wsi. We wspomnianych wyborach europejskich na terenach wiejskich frekwencja wyniosła 39 proc. (i była aż o 200 proc. wyższa niż w poprzednich wyborach tej samej kategorii); tymczasem w przestrzeni miejskiej frekwencja wyniosła 60 proc. (i była tylko o ok. 2/3 wyższa – w miastach – niż w poprzednich wyborach tego samego typu). Mówiąc o rezerwie, prof. Dudek miał na myśli osoby, które nie zostały zaktywizowane i podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego, pozostały w domach, zarówno na wsi, jak i w miastach; odpowiednio ta rezerwa wynosiła w przestrzeni wiejskiej 61 proc., zaś w przestrzeni miejskiej 40 proc. Do twierdzenia prof. Dudka, na temat rzekomej przewagi rezerwy wyborczej na wsi, w stosunku do miasta, należy zrobić trzy poważne zastrzeżenia:

Po pierwsze, same wielkości procentowe nie wyrażą dobrze rezerwy frekwencji, żeby ją określić należy sięgnąć po kalkulację w liczbach bezwzględnych; tymczasem owe 61 proc. rezerwy frekwencji na terenach miejskich, to mniej więcej tyle samo co owe 40 proc. w mieście (7 381 879 do 7 260 853); jak widać w liczbach bezwzględnych przewaga rezerwy wyborców z terenów wiejskich (gdzie występuje wysoka solidarność głosowania na PiS) jest iluzoryczna. Procentowa przewaga została „stopiona” przez wielkości bezwzględne.

Po drugie, na terenach wiejskich o wiele trudniej mobilizować wyborców. Sytuacja przypomina fenomen rozwoju gospodarczego: po przekroczeniu pewnego progu wzrost spowalnia; takie samo prawo działa w przypadku przyspieszającego samochodu: dużo łatwiej zwiększać prędkość z poziomu 60 km/h niż z pułapu 180 czy 200 km/h; w przypadku terenów wiejskich, po przekroczeniu 50 proc. dynamika przyrostu frekwencji dynamicznie słabnie; tymczasem przestrzeń miejska jest na to zjawisko dużo mniej wrażliwa.

Wreszcie po trzecie i jest to argument kluczowy, na osi wieś – miasto miały w ostatnim czasie

miejsce dynamiczne procesy migracji (a z drugiej strony ruralizacji); zwłaszcza młodzi ludzie urodzeni na wsi wyjeżdżali i nadal wyjeżdżają do wielkich miast, w celu zdobycia wyższego wykształcenia lub pracy; za tymi zmianami w bardzo małym stopniu szła korekta statystyczna, związana ze urealnieniem ewidencji meldunkowych oraz spisów wyborczych. W efekcie te 39 proc. wyborców z terenów wiejskich, głosujących w wyborach do Parlamentu Europejskiego, to może być w rzeczywistości 60 proc. Tłumaczyłoby to dramatyczny spadek przyrostu dynamiki frekwencji na terenach wiejskich po przekroczeniu 50 proc.

Oznacza to, że w ujęciu realnym rezerwa frekwencji na wsi jest dużo mniejsza niż w mieście. I właśnie mobilizacja tej rezerwy frekwencji, zwłaszcza obecnej w wielkich i średnich miastach, będzie z punktu widzenia Rafała Trzaskowskiego kluczowym zadaniem, które może zadecydować o zwycięstwie.

Podczas ostatnich wyborów parlamentarnych w 2019 roku, frekwencja na wsi wyniosła 56,5 proc., stanowiąc wzrost w stosunku do wyborów europejskich o 17,5 proc. Tymczasem łączna frekwencja wyborcza w przestrzeni miejskiej ukształtowała się na poziomie 65,5 proc.; w relacji do wyborów do Parlamentu Europejskiego oznacza to wzrost o 5 proc.

Dynamika przyrostu frekwencji na wsi – porównując wybory do Parlamentu Europejskiego w stosunku do wyborów parlamentarnych – była zatem na wsi dużo wyższa (o 12 proc.), mimo to PiS nie zdołał poprawić wyniku wyborczego, jaki uzyskał w wyborach europejskich (45,38), otrzymując w wyborach do Sejmu o 1,79 proc. głosów mniej, czyli 43,59 mimo znacznie wyższej frekwencji w swojej kluczowej przestrzeni wyborczej: a więc na wsi, zaś w wyborach do Senatu (ordynacja większościowa) PiS w ogóle nie zdobył większości mandatów senatorskich.

Zadecydowały o tym wielkości wyrażone w liczbach bezwzględnych. W porównaniu z wyborami do Parlamentu Europejskiego w wyborach do Sejmu (obydwa w 2019 roku) PiS uzyskał o 1 859 155 głosów więcej, tymczasem ugrupowania tworzące Koalicję Europejską, startujące w wyborach do Sejmu w zmienionych formułach koalicyjnych (i w zasadzie osobno) zwiększyły liczbę głosów o 2 766 044.

To pokazuje, że wzrost frekwencji (nawet z dużo mniejszą dynamiką w przestrzeni miejskiej) nie sprzyja PiS-owi.

Różnicy tej nie było wyraźnie widać w wyborach do Sejmu, gdzie obowiązuje ordynacja proporcjonalna, jednak w wyborach do Senatu, przeprowadzanych pod rządami systemu większościowego (jednomandatowego) we wszystkich okręgach, w których obóz liberalny zdołał uzgodnić i wystawić jednego kandydata, i w taki sposób doszło do czołowego, bezpośredniego zderzenia, zwyciężał kandydat obozu liberalnego.

Podobna sytuacja miała miejsce w wyborach samorządowych w zakresie burmistrzów i prezydentów; nawet w mniejszych miastach, w których w wyborach proporcjonalnych często zwyciężał PiS, w wyborach burmistrzów, przeprowadzanych wg ordynacji większościowej, gdy tylko doszło do drugiej tury, zdecydowanie wygrywał kandydat antyPiS-u, mimo że czasami reprezentował mniejszą partię polityczną niż PO, np., SLD.

Ta parametry każą przypuszczać, że w warunkach, w jakich odbywają się wybory prezydenta RP, w drugiej turze tych wyborów, w sytuacji bezpośredniego, czołowego zderzenia, zwycięstwo odniesie Rafał Trzaskowski.

Trzaskowski posiada jeszcze dwie inne ważne rezerwy

Rezerwę nadwyżki trendu. Należy się spodziewać, iż kandydat ten poprzez zwiększoną mobilizację w grupach pokoleniowych (szczególnie młodzieży), a także w środowiskach

pozapolitycznych, uzyska więcej głosów niż wskazywałby jego globalny trend, mierzony w pomiarach socjometrycznych.

Na Trzaskowskiego mogą pracować trendy lokalne, dające w określonych miejscach nadwyżkę wobec poparcia, które wynikałoby z trendu globalnego.

Np. w Warszawie, w strukturze wielkości głosów uzyskanych przez Trzaskowskiego powinna nastąpić istotna nadwyżka w relacji do trendu globalnego; w Warszawie prawdopodobnie Trzaskowski otrzyma więcej głosów niżby wynikało z trendu globalnego, obliczanego dla tego miasta; podobne zjawisko może nastąpić w innych aglomeracjach miejskich: np. na Śląsku, w Trójmieście, w Poznaniu, we Wrocławiu, itp.

Inną rezerwą Trzaskowskiego będzie środowisko samorządowe. Ta grupa powinna również wygenerować poparcie powyżej trendu globalnego, zwłaszcza w wielkich miastach rządzonych przez prezydentów reprezentujących PO albo też osoby środowiskowo związane z obozem liberalnym.

Na mniejszą skalę środowisko rezerwy samorządowej może działać na rzecz Rafała Trzaskowskiego również na wsi.

Inna jeszcze rezerwa Rafała Trzaskowskiego jest to, iż młodzi wyborcy, którzy w ferworze procesów migracyjnych wyjechali ze wsi do wielkich miast w celu zdobycia wykształcenia lub atrakcyjnej pracy, będą głosowali zgodnie z kluczem zachowania konformistycznego, a więc inaczej niż ich ortodoksyjne środowisko.

Mankamentem Andrzeja Dudy, który automatycznie przekłada się na poważną przewagę Trzaskowskiego, jest niska zdolność do mobilizacji elektoratu powyżej progu 45 proc.

Wielokrotnie, w odniesieniu do PiS mówiło się o tzw. „szklanym suficie”, czyli niemożności osiągnięcia poparcia poza pewną granicą. Po zwycięstwie w wyborach parlamentarnych w 2019 roku, mówiło się w gronie ekspertów, publicystów, znanych dziennikarzy, że ów „szklany sufit” został zlikwidowany.

I tak, i nie. Ale raczej jego likwidacja jest pozorem; gdyż granica poparcia dla PiS nadal istnieje, a więc zjawisko „szklanego sufitu” dalej występuje. Tzw. „twardy elektorat” PiS wynosi ciągle ok. 33 proc., wszystko co partia Jarosława Kaczyńskiego uzyskuje powyżej tego progu, to efekt klientelistyczny (można go nazwać również: populistycznym) uzyskany dzięki rozdawnictwu pieniędzy prowadzonemu przez PiS.

Populacja wyborców „twardych”, a więc ideologicznych, światopoglądowych, politycznych, programowych, w PiS bardzo nie przyrasta. Za to zwiększyła się w ostatnich latach w rezultacie realizacji programów socjalnych oraz otworzeniu drug awansu dla klientelistycznych środowisk powiązanych z PiS, populacja wyborców populistycznych, czy mówiąc innymi słowami: merkantylnych, konformistycznych. Jednak tę ostatnią grupę łatwo jest od PiS odciągnąć.

Jak pokazują badania socjologiczne, w ramach PiS funkcjonują generalnie (uwaga, bo jest to uproszczenie) dwie grupy: 1) ideologiczna (konserwatywna), zlokalizowana w wielkich i średnich miastach; a także 2) populistyczna (socjalna, klientelistyczna) – skupiona na wsi i w małych ośrodkach miejskich.

Badania oraz analizy pokazują, iż pierwsza grupa stanowi elektorat o dużej identyfikacji, silnej tożsamości, jak również wysokiej intensyfikacji, determinacji głosowania, który trudno od PiS odciągnąć (przejąć).

Natomiast druga grupa, to wyborcy o niskiej tożsamości politycznej i małej intensyfikacji głosowania (nasączeniu tożsamości politycznej), ale wysokiej solidarności – wyborców tych dużo łatwiej od PiS odciągnąć.

Reasumując: Andrzejowi Dudzie trudno będzie mobilizować wyborców powyżej granicy 45 proc.

i tym samym zwiększać frekwencję głosowania na siebie.

Wariant portugalski

Już w analizie z końca grudnia 2019 roku opisałem fenomen wyborów prezydenckich w Portugalii z 1986 roku, nazywając go wariantem portugalskim i stawiając tezę, że taka sama sytuacja może nastąpić w Polsce, w wyborach prezydenckich w 2020 roku; tę diagnozę następnie wielokrotnie przywołałem w innych analizach.

O co chodzi w wariancie portugalskim? Najkrócej mówiąc kandydat, który zdecydowanie, wręcz miażdżąco zwycięża w pierwszej turze wyborów; w drugiej odsłonie, z uwagi na niską zdolność do rozszerzenia elektoratu oraz bardzo wysoki wskaźnik wyborców negatywnych, powiększą swoją populację tylko o kilka procent, i przegrywa.

Tak zdarzyło się właśnie w Portugalii w 1986 roku.

Cytat z poprzedniej analizy: „W 1986 roku, podczas wyborów prezydenckich w Portugalii, odbywających się na bardzo zbliżonych zasadach jak w Polsce, kandydat prawicy, ludowiec Diogo Freitas do Amaral w pierwszej turze zdecydowanie zwyciężył uzyskując aż 46,3 proc wyborczego poparcia.; podczas gdy drugi w stawce, socjalista Mário Soares zanotował stratę w wielkości 20,9 proc., zdobywając w pierwszej odsłonie wyborów zaledwie 25,4 proc. głosów. Komentatorom wydawało się, że wybory są rozstrzygnięte. Niektórzy doradzali nawet Soaresowi, aby z uwagi na brak szans sam zrezygnował. Rezultaty drugiej tury wyborów były sensacyjne: do Amaral do puli 46,3 z pierwszej tury dodał jedynie 2,5 proc, co dało mu ostateczny wynik na poziomie 48,8 proc., podczas gdy Mario Soares zdołał odrobić pomiędzy obydwiema turami aż 25,8 pkt. i został wybrany prezydentem z poparciem 51,2 proc wszystkich głosujących.

Zdecydowały o tym dwa czynniki: negatywny elektorat Freitas do Amarala oraz niski potencjał poszerzania własnej populacji wyborczej, a także mobilizacja rezerw przez jego przeciwnika, pozyskanie elektoratów prawie wszystkich pozostałych kandydatów z pierwszej tury i nowych wyborców, którzy za pierwszym razem nie byli przy urnach”.

Portugalska analogia staje się o tyle nieadekwatna, po wejściu do gry Rafała Trzaskowskiego gwałtownie dezaktualizuje się, że przewaga Andrzeja Dudy nad drugim kandydatem nie będzie miażdżąca, jak to miało miejsce w sytuacji dystansu, który dzielił Diogo Freutasa do Amarala i Mário Soares. Tam była to odległość 20,9 proc., w Polsce w 2020 roku może nie być nawet 10. Przewaga Dudy nad Trzaskowskim wyniesie od 6 do 8 proc., o ile nie będzie jeszcze mniejsza.

Przepływy głosów

Prezydent Andrzej Duda będzie musiał się zmierzyć z poważnymi ograniczeniami, co do pozyskania głosów w kontekście drugiej tury wyborów. Dramat kandydata PiS polega na tym, że pole manewru do poszerzenia elektoratu jest bardzo małe, i wcale nie większe, jak w opisanym powyżej przypadku Diogo Freutasa do Amarala w 1986 roku w Portugalii. Z tej perspektywy Duda z 2020 roku, to całkowicie inny Duda, niż ten 5 lat wcześniej. Wówczas był to polityk, jak na warunki PiS koncyliacyjny, kompromisowy, umiarkowany, znany dziennikarz Jacek Żakowski mówił nawet wówczas w Radiu TOK FM, o sympatycznym kandydacie niesympatycznej partii.

Niestety, jak to się kolokwialnie mówi: „przyspawanie” prezydenta Andrzeja Dudu do partii PiS oraz skrajny serwilizm uprawiany wobec Jarosława Kaczyńskiego pozbawiły Dudę

wcześniejszych walorów.

Dziś Duda nie posiada lepszej zdolności rozszerzania własnej populacji wyborczej niż PiS, zaś jego zdolność mobilizowania elektoratu „żelaznego” jest niższa od umiejętności posiadanej w tym zakresie przez partię.

W polityce trzeba czasami iść tropem podpowiedzi ojca politologii Niccolò Machiavelliego i być trochę niewdzięcznikiem, nawet wobec własnego politycznego patrona czy promotora, potrafić odciąć się od politycznych protektorów i własnego politycznego środowiska.

Potrafił to Aleksander Kwaśniewski, dlatego znacząco rozszerzył swój elektorat i w 2000 roku zwyciężył już w pierwszej turze wyborów prezydenckich; Duda tego nie potrafił.

Czynnik ludowy

Dotychczas typową przestrzenią docelową, dzięki której PiS mógł pozyskiwać nowych wyborców była polska wieś i małe ośrodki miejskie. W roku 2005 Lechowi Kaczyńskiemu udało się przekonać do siebie wyborców Andrzeja Leppera, lidera „Samoobrony”. Od roku 2005 PiS sukcesywnie rozszerzał swoje wpływy na polskiej wsi kosztem „Samoobrony” oraz PSL. Istniała bliskość populacji wyborczych PSL i PiS. Ponieważ PiS, oprócz programu dobrze postrzeganego przez mieszkańców wsi, cieszył się dużo wyższym domniemaniem skuteczności głosowania (pragmatyzm wyborczy) i stwarzał dużo wyższą perspektywę realności realizacji programu niż PSL, od 2005 roku istniały bardzo poważne perfuzje wyborców z PSL do PiS. Nie bez kozery lider PSL, Władysław Kosiniak-Kamysz, powiedział w 2017 roku, gdy Beata Szydło przestawała być prezydentem: my baliśmy się Szydło, bo ją lubił bardzo nasz elektorat. We wspomnianym roku 2019, w wyborach do Parlamentu Europejskiego, gdy PSL wszedł w nieakceptowaną na wsi formułę Koalicji Europejskiej, zdecydowana większość ludowego elektoratu zagłosowała na PiS. Wewnętrzne badania demoskopijne realizowane na zlecenie ludowców, pokazały, że na KE padło tylko 2 proc. głosów wyborców PSL, a reszta na PiS. Do tej pory pierwszą grupą docelową, do której mógł się zwrócić PiS, kiedy trzeba było poszerzyć własną populację wyborczą, byli wyborcy PSL, dla których PiS był partią drugiego wyboru; dla tych którzy przy PSL po roku 2005 pozostali, gdyż dla części PiS przekształcił się z partii drugiego na partię pierwszego wyboru.

Tak było do tej pory: elektorat PSL w drugim wariantcie zawsze w swej największej części popierał PiS. Ale teraz już tak nie będzie.

Elektorat PSL w drugiej turze, w znacznie większej skali (szacować ją można gdzieś na 70-75 proc.) poprzez Rafała Trzaskowskiego.

Zdecyduje o tym kilka czynników

Po pierwsze, Ci wyborcy ludowi, którzy mieli odpłynąć do PiS już odpłynęli. Przy PSL oraz Kosiniaku-Kamyszu pozostali wyborcy najwierniejsi, niechętni PiS-owi. Jeżeli do tej pory mimo usilnych zachęt socjalnych nie przeszli na stronę PiS, to już nie przejdą.

Po drugie, populacja wyborcza popierająca PSL, została przez PiS bardzo mocno okrojona. Przy PSL-u pozostali właściwie tylko wyborcy powiązani z partią więzami klientystycznymi, pragmatycznymi, środowiskowymi, towarzyskimi; ze względu na bliski kontakt z partią można ich nazwać wyborcami zinstytucjonalizowanymi, nad którymi centrala oraz struktury terenowe PSL posiadają kontrolę.

Ta grupa wyborców nie lubi PiS, gdyż ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego stopniowo

pozbawiało ich wpływów na wsi. Będą zatem skłonni z powodów emocjonalnych, jak i taktycznych, do głosowania przeciwko PiS, a więc przeciw Andrzejowi Dudzie.

Na marginesie dygresja: często opisuje się Jarosława Kaczyńskiego jako wybitnego stratega wręcz demiurga polskiej polityki, po części jest to prawda, jednak dość kontrowersyjna, albowiem w wielu przypadkach polityk ten wykazał się krótkowzrocznością; myśleniem taktycznym, lecz nie strategicznym.

Po, trzecie, prawdopodobnie zostanie wyartykułowany jednoznaczny komunikat przez Władysława Kosiniaka-Kamysza, aby jego wyborcy w drugiej turze poparli Rafała Trzaskowskiego. I to będzie moment przesądzający, jeśli chodzi o zachowanie elektoratu PSL, w drugiej turze wyborów prezydenckich 2020.

W odróżnieniu od Andrzeja Dudy, pretendent do urzędu prezydenckiego, Rafał Trzaskowski, będzie w drugiej turze wyborów posiadał dużo większe pole manewru.

Samo wejście do drugiej tury wzmocni go, nada mu formatu. Gdy w grze jest tylko dwóch kandydatów, o dość wyrównanych szansach, inaczej kształtuje się ludzki konformizm: wyborcy nie stawiają tak pewnie na jednego kandydata (często tego, który jest u władzy), gdyż nie są pewni ostatecznego rezultatu.

Dominują postawy zachowawcze, kunktatorskie, a to sprzyja kandydatowi-pretendentowi, ubiegającemu się pierwszy raz o wybór, a nie osobie walczącej o reelekcję, gdyż cały proces innego rozkładu konformizmu neutralizuje przestrzeń strukturalną oraz klientelistyczną tego drugiego.

Struktury, którymi dysponuje Andrzej Duda będą zachowywać się bardziej defensywnie, inaczej struktury Rafała Trzaskowskiego – te uskrzydłone wejściem do drugiej tury przyjmą postawę ofensywną.

Wspomniane zjawiska hegemonii oraz spirali milczenia będą działały na korzyść Trzaskowskiego.

Żeby za bardzo nie odchodzić od PSL, w szerszym zakresie, pierwszą grupą wyborców, do których może skierować się Rafał Trzaskowski jest polska wieś; przy czym nie tylko elektorat PSL, ale również PiS.

Nawet część wyborców z terenów wiejskich, która w pierwszej turze poparła Andrzeja Dudę, w drugiej mogła będzie zmienić swoje preferencje i zagłosować na Rafała Trzaskowskiego.

Po zakończeniu pierwszej tury, wybory zostaną jakby zresetowane, wszystko zacznie się od nowa, na placu boju pozostanie jedynie dwóch kandydatów.

Tymczasem inna struktura kandydatów, inna scena wyborcza, pociąga za sobą inną percepcję. Wyborcy z terenów wiejskich cechują się niższym poziomem socjalizacji politycznej; jak to mówią często eksperci są to „wyborcy nisko-polityczni”. Wyróżniają się oni większą wrażliwością na argumenty pozapolityczne, takie jak aparycja, barwa głosu, ubiór, atrakcyjność rodziny, itp. W tych elementach wizerunkowych przewagę posiada Rafał Trzaskowski.

Jak już wcześniej zostało powiedziane: elektorat PiS składa się z dwóch grup – ideologicznej (tożsamościowej, konserwatywnej) i populistycznej (socjalnej, pragmatycznej); pierwsza jest „twarda”, druga „miękka”; ta pierwsza koncentruje się w wielkich i średnich miastach, druga zlokalizowana jest na wsi; badanie socjologiczne pokazują, że tą drugą grupę jest dużo łatwiej PiS-owi odebrać.

Mitem jest założenie, iż wyborcy z terenów wiejskich głosują na PiS z uwagi na konserwatyzm. Pogląd, iż Polska wieś jest konserwatywna ma w dużej mierze charakter stereotypowy; Polska wieś podlega procesom umiastowienia, o których w szerszym europejskim kontekście pisał hiszpański socjolog, Manuel Castells; te procesy przesuwają mieszkańców wsi stopniowo w

kierunku nowoczesności.

Istnieją dwa powody dla których wyborcy wiejscy głosują na PiS: anachroniczne rozumienie pojęcia patriotyzm, a przede wszystkim dokonane transfery socjalne.

W toku wspomnianego powyżej kradzieży języka, PiS „skolonizował” dyskurs i nappełnił puste bądź niejednoznaczne pojęcia, nowymi znaczeniami.

W ten sposób pojęcia takie jak patriotyzm, Ojczyzna, Naród zostały nappełnione znaczeniami nadanymi przez PiS i zaczęły tak funkcjonować w świadomości społeczności wiejskiej, która dokonała pozytywnej recepcji tych terminów.

Mimo wszystko jednak polska wieś stanowi dużo bardziej elektorat socjalny niż konserwatywny. Jest to środowisko w sporej mierze do przejęcia przez Rafała Trzaskowskiego, pod warunkiem niekwestionowania wprowadzonych przez PiS reform socjalnych (choć z punktu widzenia dobrego programu gospodarczego należałoby to zrobić), a jednocześnie większego uwypuklenia walorów pozapolitycznych.

Zbyt duży zakres fraternizacji z mieszkańcami polskiej wsi nie jest oczywistą metodą pozyskiwania wyborców. Wskazany wydaje się złoty środek i umiar: z jednej strony pewna dostępność, ale z drugiej naznaczenie dystansu.

Wieś lubi „dostępnych Panów”

Przy czym wieś jest bardzo podatna na coś przypominającego tzw. efekt bumerangu, czyli powracającą falę prestiżu: mieszkańcy wsi szanują kogoś, kto jest generalnie oraz globalnie dobrze postrzegany (np. na świecie), a jednocześnie gwarantuje dostępność dla ludzi zlokalizowanych na wsi.

Aby zwyciężyć z Andrzejem Dudą Rafał Trzaskowski musi uzyskać na terenach wiejskich poparcie o wielkości w optymistycznym dla siebie scenariuszu, przy frekwencji ogólnej 61 proc. (50 na wsi i 70 w mieście) poparcie o wielkości ponad 26 proc., czyli musi zdobyć więcej niż 260 tys. na jeden milion głosujących, pod warunkiem, że w przestrzeni miejskiej otrzyma 60 proc.

Przy gorszym dla siebie scenariuszu, wyższej frekwencji na wsi (57 proc.), Trzaskowski musi uzyskać na terenach wiejskich ponad 30 proc.

W drugiej turze Rafał Trzaskowski będzie dysponował możliwością dokonanie ekspansji na kilka grup wyborców:

- 1) Wyborcy Władysława Kosiniaka-Kamysza, a w dużo szerszym wymiarze: również wyborcy polskiej wsi (o czym już pisałem powyżej);
- 2) Wyborcy nowi, którzy nie brali udziału w pierwszej turze;
- 3) Wyborcy skłonni do zmiany preferencji pomiędzy pierwszą a drugą turą („odwrócenie”);
- 4) Wyborcy Szymona-Hołowni oraz Krzysztofa Bosaka;
- 5) Wyborcy Roberta Biedronia oraz lewicy;
- 6) Wyborcy wszystkich pozostałych (pomniejszych) kandydatów;
- 7) Wyborcy branżowi i środowiskowi.

Zacznijmy od tego co jest najbardziej oczywiste, czyli od pkt. 5: głosy Roberta Biedronia, po zakończeniu pierwszej tury, automatycznie przejdą na Rafała Trzaskowskiego, pytanie tylko na ile i w jakiej części wyborców Biedronia uda się Trzaskowskiemu zmobilizować.

Jednak można szacować, że 90 proc. wyborców Roberta Biedronia pójdzie do drugiej tury i zagłosuje na Rafała Trzaskowskiego.

Głosy lewicy (zwłaszcza kulturowej) w dużej mierze już, w trakcie kampanii przed pierwszą turą

Trzaskowski skonsumował i w drugiej turze proces ten się pogłębi oraz zwiększy swoją skalę. Trzaskowski w tych wyborach może liczyć na dość jednoznaczne poparcie lewicy; w dużej mierze już w pierwszej turze, a tym bardziej w drugiej.

Zarówno wyborcy kulturowi, jaki i duża część socjalnych (tych którzy wywodzą się ze środowisk postkomunistycznych albo dziś reprezentują SLD) zagłosuje na Trzaskowskiego.

Nowi Wyborcy

W ostatnich wyborach, w 2015 roku, w drugiej turze pojawiło się ponad 2 mln nowych wyborców, czyli takich którzy nie brali udziału w pierwszej turze. Można szacować, że w zbliżających się wyborach nowych wyborców będzie dużo więcej, a frekwencja w drugiej turze będzie istotnie wyższa niż w pierwszej. Frekwencję w drugiej turze można szacować nawet na ok. 75 proc.

Nowi wyborcy zapewnią nadwyżkę frekwencji drugiej tury wobec pierwszej, a także wymienią (uzupełnią) te grupy wyborcze, które w rezultacie niepowodzeń ich kandydatów w pierwszej turze albo zdarzeń losowych, w drugiej turze zostały zdemobilizowane.

Nowych wyborców pójdzie do urn znacznie więcej w dużych i średnich miastach niż na wsi. Choć trudno to reprezentatywnie, miarodajnie, empirycznie potwierdzić, to na zasadzie intuicyjnego rozeznania oraz autopsji z poprzednich lat można zakładać, iż trend wśród nowych wyborców będzie znacznie korzystniejszy dla Rafała Trzaskowskiego niż trend wśród wyborców, dla których druga tura stanie się ponownym udziałem w wyborach.

Dla Trzaskowskiego trend wśród nowych wyborców będzie znacznie korzystniejszy niż w wśród pozostałych.

Zadecyduje o tym siła namietności politycznej w postawie wyborczej: nowi wyborcy zawsze nastawieni są na zmianę.

„Odwrócenie”

Bardzo ciekawą grupą są wyborcy, którzy mogą zmienić preferencje pomiędzy pierwszą a drugą turą wyborów. Wydaje się, że obydwaj kandydaci dysponują zdeterminowanymi, nasyconymi emocjami, „twardymi” elektoratami, i że bardzo mała część wyborców pomiędzy turami będzie w stanie zmienić swoje poglądy.

Nawet gdy będzie to mała część, to takie „wyrwanie” wyborców z przestrzeni rywala może mieć, przy bardzo wyrównanej walce, jako się zapowiada, kluczowe znaczenie.

Poza tym, wcale to nie musi być grupa aż tak mała, chociaż oczywiście nie będzie ogromna. W tym kontekście ciekawa jest teza jaką w tym punkcie należy postawić: większą gwarancję konsekwentnego, zdeterminowanego głosowania dają wyborcy Rafała Trzaskowskiego, gdyż są to w dużej mierze wyborcy powodowani emocjami negatywnymi (stąd hasło: „Mamy dość”), przez tzw., stosując teriologię niemieckiego filozofa, Friedricha Nietzschego, afirmację negatywną opartą na awersji wobec PiS-u (emocja antyPiS).

Jak powszechnie wiadomo bardziej zdeterminowani w głosowaniu są wyborcy napędzani emocjami negatywnymi, stąd trudniej będzie Dudzie „wyrwać” wyborców z populacji wyborczej Trzaskowskiego, niż odwrotnie.

Wyborcy Andrzeja Dudy, znajdujący się poza sferą ideologicznego („żelaznego”) elektoratu, znajdujące się w wielkich i średnich miastach, czyli wyborcy bardziej elastyczni, miękcy są łatwiejsi do przejęcia.

Wbrew istniejącym stereotypom, w drugiej turze wyborów, bardziej „twardy” i zdeterminowany (a co za tym idzie również: bardziej mobilny) będzie elektorat Rafała Trzaskowskiego.

W kontekście wyborców „odwróconych” oraz nowych wyborców, którzy pojawią się w drugiej turze, fundamentalne znaczenie będą miały debaty wyborcze przeprowadzone z udziałem obydwu kandydatów przed drugą turą.

Te momenty, debaty, a więc bezpośrednie pojedynki retoryczne, sopory na argumenty oraz programy, będą miały rozstrzygające znaczenie w odniesieniu do końcowego wyniku wyborów prezydenckich.

Debata jest bowiem takim mechanizmem, który przy jej pomyślnym dla danego kandydata przebiegu pozwala na bezpośrednie „wyrwanie” (przejęcie) części wyborców z populacji wyborczej przeciwnika, a więc pozyskanie większej ilości wyborców „odwróconych” i przekonanie wyborów nowych, którzy nie uczestniczyli w pierwszej turze.

Również zaktywizowanie wyborców nowych do udziału w pierwszej turze.

Ten kandydat, który obiektywnie odniesie zwycięstwo w debacie/debatkach, wygra również całe wybory i zostanie prezydentem RP,

Ewentualny remis, dzięki większej determinacji mobilizacyjnej jego elektoratu oraz większe rezerwy, da raczej zwycięstwo Trzaskowskiemu.

Remis w debatach, tak jak w przypadku występu polskiej reprezentacji piłkarskiej na słynnym stadionie Wembley w Londynie z Anglikami, będzie zwycięski dla Rafała Trzaskowskiego/

Wyborcy Szymona Hołowni oraz Krzysztofa Bosaka

Wielu ekspertów, nie bez racji, twierdzi, iż kluczowe dla zwycięstwa wyborów w drugiej turze, będzie pozyskanie wyborców Szymona Hołowni, a także Krzysztofa Bosaka, zastanawiając się na kogo mogą zagłosować obydwie elektoraty.

Należy dokonać jednej subtelnej korekty: (otóż) będzie to czynnik nie kluczowy, ale jeden z kluczowych; obok głosów wyborców „odwróconych” oraz pozyskania – jak się spodziewam – bardzo dużej grupy nowych wyborców, jeden z kluczowych i rozstrzygających.

Jeżeli chodzi o wyborców Hołowni, sytuacja jest dużo bardziej prosta, oni w drugiej turze przejawiają zdecydowanie większą skłonność głosowania na Rafała Trzaskowskiego niż na Andrzeja Dudę (70 proc.); złożone jest natomiast położenie i ewentualne będące tego konsekwencją zachowanie wyborze, wyborców Krzysztofa Bosaka.

Sama bowiem „Konfederacja”, którą Bosak reprezentuje jest tworem skomplikowanym, reprezentującym kilka wydawałoby się przeciwstawnych nurtów politycznych: narodowy, liberalny, konserwatywny.

Pierwsze pytanie, jakie w kontekście wyborców „Konfederacji” i Bosaka należy zadać, to: czy są to wyborcy konserwatywni?

Otóż nie są to do końca wyborcy konserwatywni; są prawicowi, ale nie konserwatywni.

Rozpatrując alternatywę: konserwatywni – liberalni, na kontinuum, znajdują się na pewno dużo bliżej bieguna liberalnego niż konserwatywnego.

Są to z całą pewnością wyborcy wolnościowi, i tak się też w wielu przypadkach afiliują.

W sferze gospodarki artykułują poglądy nie tyle liberalne, co neoliberalne (jest to pewna różnica), zorientowane na dynamiczny rozwój gospodarczy, deregulację prawa, dywersyfikację aktywności gospodarczej, niskie podatki, oraz olbrzymi zakres swobody gospodarczej.

Są to wyborcy, którzy nie życzą sobie, aby państwo im przeszkadzało, nie chcą, aby ich ograniczało.

Wyborcy, których charakteryzuje młody wiek, wysoki poziom socjalizacji politycznej, dobre wykształcenie, aktywność, przedsiębiorczość, oraz świadome, krytyczne myślenie.

Wyborcy Ci nie znoszą jednocześnie: interwencjonizmu państwa, etatyzmu, oraz socjalizmu. Właściwie do wszystkich tych elementów politycznego programu, które realizował PiS żywią dużą niechęć.

To co zaś ich łączy z PiS, to nacjonalizm oraz niechęć do sąsiadów Polski: Niemców oraz Rosji; może nawet bardziej Niemców, jak Rosji, a także antysemityzm.

Zarówno „Konfederacja” (jej znaczna część), jak i ogromne spektrum PiS są częścią tego samego nacjonalistycznego obozu. Nieprzypadkowo po katastrofie smoleńskiej, w roku 2010, w wielu sprawach i inicjatywach obydwie formacje: narodowcy i PiS, występowały razem.

Między innymi razem organizowały dwa pierwsze Marsze Niepodległości w 2010 i 2011 roku.

Później PiS z przyczyn taktycznych z inicjatyw tych się wycofał.

Obydwa ugrupowania łączyła i nadal łączy również antyeuropejskość oraz, związane z tym, anachroniczne (martyrologiczne) pojęcie patriotyzmu umocnione przez PiS w procesie „kolonizacji” dyskursu, napełniania znaczeń nieostrych lub kontrowersyjnych.

Jednak kwestia antyeuropejskości nie będzie decydująca.

Wyborcy „Konfederacji”, przez przytłaczającą większość ekspertów, dziennikarzy, komentatorów, publicystów, postrzegani bywają stereotypowo.

Definiuje się ich jako konserwatystów, tymczasem w sferze zarówno gospodarczej, jak i kulturowej (obyczajowej) są to wolnościowcy: w dziedzinie ekonomii – neoliberalowie, zaś w wymiarze obyczajowym – liberałowie.

Jak się popatrzy na życie tych ludzi, rzekomych konserwatystów, weźmie pod uwagę deklarowany przez nich stosunek wobec poszczególnych wartości, zjawisk, wydarzeń historycznych, czy instytucji, to okazuje się, iż są oni w dużo większym stopniu liberalni niż konserwatywni. Do właściwego zdefiniowania, określenia ich, ciśnie się na usta jedno słowo: niespójni.

Są to wyborcy niespójni.

Deklarują silną wiarę w Boga, a jednocześnie niechęć do religii, jako sposobowi na życie, przy jednoczesnym szacunku do historycznej roli religii. Cechują się ostrą krytyką wobec Kościoła, zwłaszcza hierarchii kościelnej, żywią dużą niechęć wobec księży, a jednocześnie uznają doniosłą, historyczną rolę Kościoła. Wielu z tych ludzi, popierających kandydata w wyborach prezydenckich Bosaka i „Konfederację”, prowadzi bardzo rozwiązły obyczajowo, liberalny, a nawet hedonistyczny styl życia.

Są bardzo wyzwoleni, jeżeli chodzi o współżycie seksualne, jednak mieszczą się raczej w ramach heteroseksualnego środowiska. Wielu z przedstawicieli tej populacji wyborczej żyje w związkach partnerskich (dwupłciowych), tworząc układy często nieformalne, nierzadko zdarza im się monogamia seryjna.

Jednak z PiS łączy ich jeszcze jedna, być może nawet kluczowa rzecz: ogromna awersja do środowiska LGBT, granicząca z szowinizmem. To jest to ideologiczne spoiwo, które może mieć istotne znaczenie.

Dla lepszego zdefiniowania wyborców Szymona Hołowni oraz Krzysztofa Bosaka, trzeba się odwołać nie tylko do aktualnych wyborów prezydenckich, nie wystarczy nawet cofnąć się do roku 2019, czyli do wyborów parlamentarnych i europejskich, ale trzeba dokonać głębszej procedury: powrócić do wyborów prezydenckich roku 2015. Tam znajdziemy rozwiązanie.

Zarówno wyborców Szymona Hołowni, jak i Krzysztofa Bosaka, a także w jakimś stopniu Władysława Kosiniaka-Kamysza, egzemplifikuje i łączy jeden kandydat: Paweł Kukiz.

W roku 2015, podczas pamiętnych wyborów prezydenckich, dzisiejsi wyborcy Hołowni, Bosaka, oraz Kosiniaka-Kamysza, głosowali na Pawła Kukiza.

To Paweł Kukiz zdynamizował proces delegitymizacji politycznej oraz kulturowej elit w Polsce i uruchomił polityczne „wibracje”, które spowodowały niespodziewaną porażkę prezydenta Bronisława Komorowskiego, a także całego obozu PO; dając jednocześnie zwycięstwo Andrzejowi Dudzie oraz formacji PiS.

Kukiz wytworzył „wibracje” (kulturowe, polityczne, społeczne), jednak posiadał zbyt słabą hegemonią (słabe struktury), aby wygrać samemu wybory. Efekt ten przejął Andrzej Duda i PiS. Kukiz reprezentował swoją osobą dwie bardzo silne namiętności polityczne napędzające jego wyborców: pragnienie obywatelskości (antypartyjność) oraz anty-systemowość, a nawet antyestablishmentowość.

Emocja, która stała za Kukizem była nastawiona na: zmianę (w języku politologii: na delegitymizację).

Te emocje kryją się również za Szymonem Hołownią: obywatelskość, antypartyjność (choć jest to mit, fikcja, i swego rodzaju populizm, gdyż nie da uprawiać się polityki bez partii politycznych, można co najwyżej zastanawiać się nad kształtem partii politycznych), a także za Krzysztofem Bosakiem: antysystemowość, antyestablishmentowość.

Wyborcy Hołowni afiliują się jako bezpartyjni, obywatele, zaś wyborcy Bosaka jako antysystemowi.

Pozyskanie Pawła Kukiza jako patrona tych emocji byłoby wielkim atutem, jeżeli udało się to uczynić sztabowi wyborczemu któregoś z kandydatów. Kukiz jest symbolem tego procesu.

Najważniejsza jest wiodąca namiętność polityczna, gdyż ona porządkuje i organizuje postawy wyborcze, kształtuje wyborcze zachowania.

Dr Karolina Wigura, w dniu 25 maja 2015 roku, nazajutrz po zwycięstwie Andrzeja Dudy w drugiej turze wyborów prezydenckich, powiedziała, w dyskusji w Radiu TOK FM że: w tych wyborach najważniejszą namiętnością polityczną była równość.

O ile pięć lat temu najważniejszą namiętnością polityczną była równość, to w trakcie tych wyborów prezydenckich, w 2020 roku, zwłaszcza w ich drugiej turze, najważniejszą namiętnością polityczną będzie wolność.

W czasach rządów PiS wolność znów jest w deficycie. Jest zagrożona. Dlatego ten, kto przejmie pojęcie wolności, kto będzie je posiadał i lepiej się nim posługiwał, lepiej napełni je znaczeniami, ten zwycięży w wyborach prezydenckich, zwłaszcza w walce o przejęcie elektoratów Hołowni i Bosaka. A w tym przypadku, już na starcie, dużo większe szanse posiada Rafał Trzaskowski,

Można szacować, choć nie jest to reprezentatywne, że 70 proc. wyborców Hołowni poprze w drugiej turze Trzaskowskiego, 20 nie weźmie udziału w wyborach, a 10 zagłosuje na Andrzeja Dudę. Jeżeli chodzi o wyborców Bosaka 40 proc. z nich nie pójdzie do wyborów w drugiej turze, zaś 35 poprze Trzaskowskiego, a 25 Andrzeja Dudę.

Trzaskowski dysponuje również znacznie większymi możliwościami wzmocnienia globalnego trendu poparcia trendami lokalnymi, albowiem może pozyskać elektorat branżowy (choć prezydent Duda w dziedzinie wyborców branżowych też posiada spore możliwości), jak również środowiskowy.

Szczególnym atutem Trzaskowskiego może być środowisko samorządowe, które jest liczne samo w sobie i posiada również zarówno w przestrzeni miejskiej, jak w wiejskiej, dużą zdolność opiniotwórczą, umiejętność wytwarzania narracji politycznych, a także sprawność w mobilizowaniu wyborców

Samorządowcy to również środowisko w dużym stopniu klientelistyczne, które kształtuje postawy wyborcze.

Inną grupą środowiskową, młodzieżową, w której poparcie wyborcze mocno przekroczy jego globalny trend i stworzy nadwyżkę: będzie młodzież. W grupie młodych ludzi Trzaskowski zwycięży miażdżąco.

Dlatego bardziej prawdopodobne w drugiej turze wyborów prezydenckich jest zwycięstwo kandydata KO Rafała Trzaskowskiego, gdyż on posiada więcej zasobów, a przede wszystkim silniej może zmobilizować rezerwy.

Prezydent Andrzej Duda natrafi na strukturalne oraz kulturowe ograniczenia, w pozyskaniu elektoratu.

Roman Mańka (Facebook)